

Wszystkie oczy skupiły się na nich, jak na jakichś niebywałych dziwach. Choć czyż nie tym właśnie byli w tej pustej krainie? Dziwadłami? Niepasującymi elementami? Rzucającymi się w oczy odmiencami? Obcymi w czyimś domu? Zebburdy patrzyli na nich z przeróżnymi emocjami wymalowanymi na pasiastych twarzach. Niektórzy się bali, innym nie podobała się ich obecność, jedni gapili się, zakrywając kopytami usta, drudzy mrużyli oczy. I tylko żrebaki miały odwagę podejść bliżej. Ojcowie i matki zasłaniali złężnione dzieci własnymi ciałami bądź siłą powstrzymywali pociechy przed zbliżeniem się. Te, którym się udało, podbiegały na bezpieczną odległość, zerkwały na wielkie rogi Druka, małe, lecz ostre szpony Goldenbeam czy kolorowe grzywy Shallow i Sigil.

– Kochane są – powiedziała hipogryfka, machając do dzieci. Kilka jej odmachowało, piszcząc niezwykle głośno, ale większość wołała dokonać odwrotu. Na wszelki wypadek.

– Ach – westchnęła Sigil. – Młode umysły, gotowe nic, tylko chłonać wiedzę jak gąbki. Jaka szkoda, że skończą pasąc kozy i jedząc tę ohydą trawę.

– Nie oznacza to, że nie będą szczęśliwe – zauważyła kapłanka.

– Proszę cię! Spędzić całe życie, robiąc jedno i to samo, nigdy nie poszerzając horyzontów? Umrzeć, nie znając świata? Kisząc się w tym samym miejscu, z tymi samymi kuc... Zebburdami?

– Nie ma nic złego w prostocie – zaprzeczyła spokojnie Goldenbeam. – W kontakcie z naturą można odnaleźć wiele radości.

– Ta, szczególnie w kontaktach z komarami – mruknęła Shallow Grave, włączając się do rozmowy. Łotrzyca wydawała się poirytowana tymi wszystkimi spojrzeniami skierowanymi na nią, jakby była jakimś zwierzęciem w ogrodzie zoologicznym.

– Ewentualnie chorobami zakaźnymi, zsiadłym mlekiem, twardą ziemią, chłodem, wilgocią, pajęczynami... – wymieniała Sigil.

Idący przed nią Druk odwrócił głowę, prychnął i pokręcił rogatym łbem z dezaprobatą i pogardą.

– Wydawałyście się silnymi kłaczami – ze smutkiem stwierdziła hipogryfka. – Takimi, które dadzą radę znojom i niedogodnościom.

– Och, ale ja jestem w stanie to wszystko znosić – odparła Sigil. – Co nie znaczy, że lubię. Na naturę wolę patrzeć zza okna.

– Spójrzcie – przerwał im Tim.

Grupa zwróciła uwagę na nekromantę, który wskazywał kopytem na dziwną drewnianą konstrukcję, górującą nad całym obozowiskiem. Wielka platforma stojąca na balach, na którą prowadziły kręte schody. Sigil podejrzewała, że jest to coś na wzór mównicy bądź szafotu, choć czarownica nigdzie nie dostrzegала śladów krwi. Obiekt znajdował się na wzniesieniu i w sporej odległości od namiotów. Bez wątpienia, by pozwolić większej liczbie Zebburdów zebrać się dookoła.

– Ciekawe – mruknęła Shallow. – To stamtąd pewnie przemawia do nich ich... wielki wódz czy coś takiego.

– Pewnie widać stamtąd całe koczowisko... – głośno zastanawiał się Druk.

Drużyna minęła część obozu, zamieszkaną przez zwykłych Zebburdów. Strażnicy prowadzili ich teraz między znacznie większymi i bogatszymi namiotami, niechybnie należącymi do przedstawicieli wyższych kast. Wojowników? Kapłanów? Starszych? Tu panował spokój i dopiero po chwili pojawili się pierwsi pasiaści mieszkańcy. Tak jak każde z nich się spodziewało, nosili stroje o wiele lepszej jakości, ale ku ich zaskoczeniu te nie były jednolite. I nawet nie chodzi o to, że niektórzy Zebburdy chodzili w skórzanych zbrojach, a inni w kolorowych szatach, że były wśród nich tak kłacze, jak i ogiery. Chodziło o różnorodność... w kulturze. Pancerze jednych były

ozdabiane, u innych tak proste, jak to tylko możliwe. Niektórzy używali kości jako biżuterii, nawet czaszek pobratymców. Szczególną uwagę Goldenbeam zwrócili Zebburydzi, których stroje zdawały się składać wyłącznie z różnokolorowych piór. Druka z kolei zaciekały okazałe ogiery, od kopyt po czubki głów wymalowane barwami wojennymi. W ich oczach jak widział prawdziwych zabijaków, którzy nie praktykowali zabijania bronią. O, nie. Ci z pewnością odbierali życie gołymi kopytami. Sigil w pewnym momencie napotkała spojrzeniem wzrok innej klaczy i ogromnie zdziwiła ją fascynacja, jaką w nim zobaczyła. Tamta Zebburydka prawdziwie badała ich, analizowała ruchy, posturę, stroje, umaszczenie... Coś podobnego! Czyżby wśród koczowników żyły jednostki ciekawe świata?

Odpowiedź na to pytanie musiała zostać odłożona na inną okazję, ponieważ strażnicy zaprowadzili drużynę do celu: wielkiego i różnokolorowego namiotu, który przywodził na myśl egzotyczne papugi lub tęczę. Został również ulokowany w pewnej odległości od pozostałych. Druk zauważył, że za nimi zebrał się całkiem okazały tłum gapiów złożony z, jak podejrzewał, elit.

Dowódca strażników powiedział coś Timowi i wszedł do wielkiego namiotu.

– Zaraz zobaczymy „tę, co pokona demony”. Wydaje mi się, że rozsądnie będzie się uklonić – oznajmił nekromanta. Reszta przytaknęła.

Z wnętrza najpierw wyszli wojownicy przypominający tego, który ich tu przyprowadził. Wszyscy nosili białe szaty na zbrojach. Ustawili się w rzędzie i zaczęli skandować słowo, którego nie rozumiał Tim, a zebrani Zebburydzi uklękli na przednie nogi. Wtedy z namiotu wyszła ona.

– O cholera – wyszeptała Shallow Grave.